Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 14 (1692) Warszawa, piątek 16 lutego 1968 r. Cena 50 gr

OPERACJA „BIAŁY KRUK" TRWA

Są to prawdziwe przygody pewnej grupy chłopców, którzy podczas letniego obozu zajęli się poszukiwaniem skarbów. Nigdy bym się o tym wszystkim nie dowiedział, gdyby nie ich meldunek informujący, że biorą udział w operacji „Biały Kruk". I chociaż odgrzewanie letnich przygód w samym środku zimy jest zajęciem wysoce złośliwym i można to określić terminem — „musztarda po obiedzie", pozwalam sobie w całości przytoczyć opowieść poszukiwaczy, mając nadzieję, że historia ta zainteresuje was bez względu na pogodę i porę roku.

SKARBY pana APTEKARZA

Marian Siwek — jeden z uczestników letniej wyprawy po skarby — pokazuje mi dar pana Stopy. Foto W. Hudon

ZA ROZLANYM strumieniem, w którym (do czasu) grzęzły wszystkie furmanki, droga stawała się szersza. Kilka razy zakręcała, wznosiła się, opadała wreszcie wzmocniona „kocimi łbami" do Pasymia. Do bazy mieliśmy całe 7 km.

Miejscowość była niewielka. Małe domki przy głównej drodze, kilka sklepów. Nic nie wskazywało na to, by nas — poszukiwaczy skarbów — mogło coś w tej okolicy zainteresować. Wstępny sondaż, czyli „złapanie języka" przeprowadzili Marian i Mirek. Chłopcy z Pasymia nic jednak nie wiedzieli. Obeszli z nami całe miasteczko, porozmawiali trochę i poszli.

Ciąg dalszy na str. 4, 5

HARCERSKIE PATROLE NA DWORCU

W Koluszkach, na ruchliwej stacji, działa drużyna harcerska Służby Ochrony Kolei. Zadaniem drużyny jest otoczenie opieką młodzieży dojeżdżającej do szkół. Harcerze wspólnie z funkcjonariuszami Służby Ochrony Kolei patrolują teren, informują o godzinach odjazdu pociągów, wskazują podróżnym odpowiednie perony, pomagają nieść ciężki bagaż. Od czasu do czasu zachodzi też potrzeba interwencji. Są uczniowie, którzy swoim zachowaniem nieraz zakłócają spokój innym, palą papierosy, niszczą sprzęt itp. Takich legitymujemy i pouczamy, jak należy korzystać z usług i urządzeń kolei.

W grudniu ub. roku w naszej drużynie odbyła się wieczornica harcerska, w czasie której zostały nam wręczone emblematy Młodzieżowej Służby Ochrony Kolei.

9 stycznia br. drużynę odwiedził przedstawiciel Polskiej Agencji Prasowej. Zbiórka, na której był obecny, związana była z pracą na kolei. Zawiadowca stacji p. Albin Kaczmarek omówił działalność pracowników stacji. Instruktor Służby Ochrony Kolei Komendy Oddziałowej w Łodzi p. Stanisław Pająk opowiadał o rodzajach służb na kolei, a na makiecie przedstawiającej stację i jej urządzenia pouczał harcerzy o sposobie poruszania się po peronach i omówił przepisy bezpieczeństwa obowiązujące na kolei. Potem rozgorzała ciekawa dyskusja.

drużynowy
HENRYK TOSIAK, hm

UNIKAJCIE ZABAW NA DZIKICH ŚLIZGAWKACH

Coraz częściej pojawiają się meldunki o tragicznych wypadkach utonięć na dzikich ślizgawkach — stawach, jeziorach, gliniankach. Bądźcie ostrożni — niech poniższe przykłady będą ostrzeżeniem dla wszystkich nierozważnych i szarżujących na kruchym lodzie.

TRZEJ CHŁOPCY — 10-letni Heniek Stachurski, jego rówieśnik Krzysiek Romanowski oraz 9-letni Rysiek Cyrkloff — uczniowie szkoły podstawowej w Wąbrzeźnie, nie zważając na kruchy lód pokrywający pobliskie jezioro, udali się na ślizgawkę. Lód załamał się i chłopcy wpadli do wody. Na pomoc tonącym pospieszyli przechodzący w pobliżu jeziora dwaj mężczyźni. Nie bacząc na grożące im niebezpieczeństwo rzucili się do wody ratując Heńka i Ryśka. Krzysiek Romanowski, niestety, utonął.

Podobny wypadek zdarzył się ostatnio w Brwinowie pod Warszawą, gdzie chłopcy urządzili sobie zabawę na zamarzniętej gliniance. W pewnej chwili pod Heńkiem Zielińskim i Jankiem Książkiem załamał się lód. Na pomoc tonącym pospieszyli ich starsi bracia. Na nieszczęście i pod nimi załamała się lodowa tafla. Dzięki odwadze i przytomności umysłu 16-letniego Ryśka Cieślińskiego udało się uratować Jurka Zielińskiego. Heniek jednak utonął. Bracia Książkowie uratowali się sami.

To oni właśnie, często bezimienni, to Janek, Zośka, Hanka, Franek — napisali najpiękniejsze i najbardziej wzniosłe rozdziały polskich dziejów wojennych.

W hołdzie małym bohaterom

Foto T. Bukowski

WOJNA rozpętana przez hitleryzm w roku 1939 wymierzona była w to, co dla ludzi najcenniejsze — w ich wolność i poczucie godności.

Najstraszniejsze i najbardziej nikczemne w tym strasznym i nikczemnym programie faszyzmu było prowadzenie wojny również przeciw dziecku.

W latach 1939-1945 nie było na naszej ziemi takiego dnia ani takiej nocy, by człowiek mógł zaznać spokoju i cieszyć się poczuciem bezpieczeństwa. Toczył się okrutny bój o istnienie narodu, jego wolność, godność i prawo do suwerennego istnienia...

W tej wieloletniej walce zakończonej pełnym zwycięstwem i triumfem człowieka naród nasz poniósł olbrzymie ofiary. Wśród poległych w boju, wśród zamęczonych i zgładzonych — były tysiące naszych dzieci.

...Pośród ofiar faszyzmu na ziemiach polskich były niemowlęta pozbawione jeszcze świadomości istnienia, dzieci stawiające pierwsze kroki, malcy, którzy zaczynali dopiero poznawać świat, chłopcy i dziewczynki sposobiący się do nauki w szkole, a także, w wielkiej liczbie, heroiczni sojusznicy dorosłych — harcerki i harcerze, dziewczęta i chłopcy, którzy chwytali za broń, szli na linie frontu, w bój partyzancki do konspiracyjnego podziemia...

Na zgliszczach zranionej, lecz zwycięskiej Polski podjęliśmy trud przywrócenia życia. Dzięki socjalistycznym warunkom egzystencji, staraniom całego narodu stworzyliśmy nowy, lepszy ład, zbudowaliśmy dom ojczysty dla wszystkich bez wyjątku uczciwych i kochających Polskę ludzi.

...Musimy pamiętać i pamiętamy o tych, którzy spędzili wiek dziecięcy w dobie wojny, utraciwszy na zawsze najlepsze lata...

Jakiż może być pomnik trwalszy i piękniejszy od nowoczesnego Centrum Zdrowia Dziecka, w którym mali ludzie naszych czasów odzyskiwać będą zdrowie i radość dzieciństwa?

Jakiż może być pomnik mądrzejszy i większą miłością przeniknięty ku tym, którym faszyzm życie odebrał — od wielkiego, jasnego gmachu, gdzie w oparciu o najnowsze zdobycze nauki i wiedzy medycznej, w atmosferze troski i ciepła serdecznego — zwyciężać będziemy śmierć, cierpienie, kalectwo i smutek.

...Ofiarnością społeczną, groszem serdecznym wzniesiemy Centrum Zdrowia Dziecka, pomnik ku czci dzieci-męczenników, dzieci-żołnierzy i konspiratorów, dzieci nieobecnych wśród nas, które — walcząc o Polskę i umierając dla niej — osierociły ojczyznę w dobie wojny!

Ta zwycięska, odbudowana ojczyzna, dla której dziecko jest skarbem największym — oddaje hołd swoim małym obywatelom, co w dramacie wojny odeszli do kronik narodowej historii.

Wszystkie nasze dzieci walczące, ginące i zwyciężające w starciu z bestialstwem faszyzmu — żyją w pamięci narodu polskiego.

Symbolem trwałej obecności wśród nas stanie się nowoczesny, wielki, piękny dom: Centrum Zdrowia Dziecka, wzniesiony ofiarnością społeczną.

KOMITET HONOROWY BUDOWY POMNIKA
(Fragment apelu)

Pociechy z odblaskiem

● W całej Francji obowi już zarządzenie, aby dzieci re chodzą do szkoły po po nim, nosiły przyszyte na nar niach odblaskowe plakietki tkoły one zabezpieczać uczniów urte ych drogą przed najeched ieo przez pojazdy mechaniecechae bę z plakietkami przeprowi pre no na terenie Bretanii, Bree zdarzało się wiele nieszczę wych wypadków z dziećm z z

Mors — przyjaciele marynarzy

● Częstym gościem załozem dziecckiego holownika płynkaj cego w pobliżu wybrzeżyd,ać chalinu jest mors. Zwierzę ryrs nie wchodzi na pokład, pone podkarmia się świeżą rybiężoposiłku lubi odpoczywać naćywołej masce silnika. Mors bezowcnie odnajduje tę jednostkę Macdziesiątka innych i towarzyszy jej podczas podróży, wykonując mimo swej ponad 100-kilogramowej wagi skomplikowane piruety i skoki przez linę.

Orzeł zamieszkał w porcie

● W porcie szczecińskim, na jednym z drzew w pobliżu elewatora zbożowego, blisko centrum miasta, uwił sobie gniazdo jeden z największych drapieżników naszych lasów — orzeł bielik. Jest to ptak dziwak. Żyje samotnie, nie lęka się wielkomiejskiego ruchu i ryku syren, a pożywienie zdobywa w pobliskich lasach. Często żywi się również rybami z Odry.

Pływające króliki

● Wybrzeża Północnej Karoliny zamieszkują — jedyne z rodziny zające — pływające króliki. Błotny królik jest na ogół stworzeniem osiadłym i często pada łupem wielkich ptaków-błotniaków. Zwierzątko to jest z natury błotniakiem i na lądzie porusza się też ruchami pływackimi. Wszystkie inne króliki są bezradne w wodzie i próbują pływać skokowymi ruchami.

Najpiękniejszy z pomników

SŁYSZELIŚCIE od rodziców, oglądaliście na filmach, czytaliście w książkach... o waszych kolegach i waszych koleżankach, którzy w czasie wojny dawali wyraz bezprzykładnego bohaterstwa. Ramię w ramię z dorosłymi walczyli, ginęli, zwyciężali. Tym małym a zarazem wielkim bohaterom należy się pomnik, by pamięć o nich na zawsze pozostała w narodzie.

7 lutego br. w gmachu Urzędu Rady Ministrów w Warszawie, pod przewodnictwem Marszałka Polski Mariana Spychalskiego — Przewodniczącego Rady Głównej Przyjaciół Harcerstwa — obradował Komitet honorowy budowy tego właśnie pomnika. Będzie to pomnik niezwykły. Bohaterstwo i męczeństwo dzieci upamiętni piękne, nowoczesne Centrum Zdrowia Dziecka.

Ten wspaniały gmach, wyposażony w najnowsze urządzenia medyczne, będzie zbudowany w całości z pieniędzy społecznych, z dobrowolnych składek organizacji, instytucji i każdego z nas.

Pierwsze wpłaty już wpłynęły. Jesteśmy przekonani, że każdy czytelnik naszej gazety, każda drużyna i szczep harcerski w miarę swoich możliwości zechce przyczynić się do budowy tego najpiękniejszego z pomników. Podajemy numer konta: Oddział PKO I Warszawa nr 1-9-122222 Pomnik - Szpital — Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie.

Nasze przyszłe losy

ŻEBY UWAŻAĆ się za człowieka dorosłego, trzeba skończyć szkołę i pomyśleć o zawodzie. Niektórzy sądzą, że jak mają swoją sympatię, to już są dorośli. Niestety nie, bo chcąc być człowiekiem dorosłym, trzeba wiedzieć, co znaczy prawdziwa przyjaźń między dwojgiem ludzi i wzajemna pomoc, praca.

Moim zdaniem nastolatek staje się wtedy dorosłym, kiedy kończy 18 lat i jest pełnoletni. Człowiek kończąc 18 lat jest już dojrzały i wie jak żyć dalej, wybiera swoje stałe miejsce w społeczeństwie.

To pytanie — „Jak być dorosłym?" — sprawiło mi wiele trudności. Inni uważają, że chcąc być dorosłym, trzeba być poważnym. Nie! Wcale nie!

Wydaje mi się, że dorosłość sama przychodzi. Z biegiem czasu każdy stanie się człowiekiem dorosłym, bo takie są prawa natury. Wtedy będzie zastanawiał się nad swoim przyszłym losem.

Nie musimy więc już teraz starać się być na siłę „dorosłymi" — bo nimi wcale jeszcze nie jesteśmy. Nie musimy się głowić, czy jesteśmy dorośli, czy nie, bo to nie ma sensu. Chociaż już teraz powinniśmy widzieć dobre cechy dorosłych i starać się je naśladować. (rj)

ALA J.

NASTOLATKI DYSKUTUJĄ O SOBIE

APTEKARSKA RECEPTA

SPRÓBOWAŁEM znaleźć „lek" na dorosłość. Po dłuższym namyśle ukręciłem w misce do ciasta skuteczny preparat. Recepta jest następująca:

Wziąć dużą porcję uczciwości (22 kg i więcej), do tego dodać uczucie przyjaźni do ludzi. Oba składniki należy dokładnie wymieszać z inteligencją.

Otrzymany produkt włożyć do „makówki" (ostrożnie, by nie naruszyć mózgu), do tego wystarczy dołożyć 4 klepki rozumu.

Po dokładnym wymieszaniu — zalać olejem wiedzy dla klasy VIII i poczekać do 18 roku życia.

Uwaga! Proszę nie dolewać przy robieniu leku ani kropli wody! (rj)

REX Z NOWEJ SOLI

JA UWAŻAM, że być dorosłym, to przede wszystkim umieć myśleć. Ale nie myśleć o chłopcach i o miłości, lecz o swych zamiarach na przyszłość, o nauce i zachowaniu. Dorosły człowiek powinien umieć decydować o swym postępowaniu, nie tak, by tylko jemu było dobrze, ale by wszystkim razem z nim też było dobrze.

Czy spotkanie z chłopcem lub późny powrót do domu, picie alkoholu i papierosy to „dorosłość"? Absolutnie nie. Ja nigdy nie byłam na spacerze z żadnym chłopcem, choć moja mamusia nie zabroniłaby mi późniejszych powrotów, bo mama mi wierzy. Czuję się jednak doroślejsza od wielu koleżanek. Jest to dziwne uczucie, którego nie potrafię opisać, wiem jednak na pewno, że jestem bardziej dorosłą, niż tamte „zakochane" dziewczęta.

Jak dotychczas moim największym przyjacielem jest moja mama. Mama mnie rozumie. (rj)

DZIEWCZYNA Z GRODZISKA

MOIM NAJWIĘKSZYM PRZYJACIELEM JEST MAMA

Z OTWARTYMI SERCAMI

Z dużym zainteresowaniem śledzę dyskusję w „Klubie Nastolatków". Ja za dorosłego człowieka uważam tego, który jest w pełni świadomy swojej drogi w życiu. Rozumie życie. Wie, że nie jest ono drogą usłaną różami. Że nawet róże mają kolce i to ostre. Bo przecież każdy ma przeznaczoną dla siebie porcję szczęścia i rozczarowań. A rozczarowań jest czasem dużo. Sens życia jest trudny do rozumienia, każdy pojmuje go w inny sposób. Jednemu wydaje się, że żyje, aby pracować, drugiemu, że dla miłości.

A nauka? Nauka jest przecież jak ciężkie drzwi dębowe. Kiedy — jak nie teraz — będziemy mieli siłę je otworzyć? Otworzyć, aby poznać to, co teraz nam jeszcze nieznane.

A serca bliskich ludzi? One też mają przecież sens w życiu. Serce matki, ojca, przyjaciół, a może kogoś więcej? Ale z tego najlepiej zdają sobie sprawę właśnie dorośli.

My — nastolatki, idźmy z otwartymi sercami i dążmy do zdobycia jak najwięcej mądrości i wiedzy tego dziwnego świata, a wtedy będziemy mogli się uważać za dorosłych. (rj) GDYNIANKA

DECYDUJE SIŁA CHARAKTERU

CHCIAŁABYM powiedzieć, że sprawa „smarkaczy" bardzo mnie interesuje. Uważam, że dyskutując o naszej postawie wobec życia, szkoły, domu, należy poruszyć problem własnego „ja".

Starsi narzekają na nas (chociaż nie wiadomo, jak tam było, gdy tato był młody). Czasami jednak wcale nie zwracają na nas uwagi i to chyba jest najgorsze. Wtedy najłatwiej wybrać ową „wolność" chuligańską.

I właśnie w takim okresie należy pokazać wobec samego siebie swój charakter. Trzeba strzec własnego „ja" i być takim, jak zawsze. Wiem, że to najtrudniejsza, ale jedyna droga.

Możecie się śmiać, ja jednak wierzę, że nawet ci „wolnościowcy" — słabi, poddający się różnym wpływom, muszą kiedyś odnaleźć siebie.

Musimy stale pytać samych siebie: „Jaki jestem"? Taka samokontrola bardzo pomaga, stwarza szansę zaczęcia wszystkiego od nowa. Uważajmy, aby nie było za późno.

GOSIA

Przed dwoma tygodniami zamieściliśmy w „Świecie Młodych" ogłoszenie apelujące o pomoc w odnalezieniu Tytusa, który uciekł z historyjki obrazkowej. Do redakcji nadeszło kilkadziesiąt listów z całej Polski. Widziano go prawie równocześnie w Szczecinie i Białymstoku, w Gdyni i Krakowie. Albo szelma jest sprytny i dla zmylenia pościgu błyskawicznie zmienia miejsca pobytu, albo mamy jeszcze w całej Polsce tylu Tytusopodobnych. Druga wersja wydaje nam się bardziej prawdziwa. Podaliśmy jako cechę charakterystyczną Tytusa — ogląda program telewizyjny do końca, a na drugi dzień zasypia i spóźnia się do szkoły. Okazuje się, że nie jest to cecha charakterystyczna tylko Tytusa, co wprowadziło w błąd naszych detektywów.

Wielu czytelników powiadomiło nas, że Tytus ukrył się w drugiej księdze przygód „Tytusa, Romka i A'Tomka", inni, że znajduje się w ZOO, a jeszcze inni... przeczytajcie zresztą poniżej.

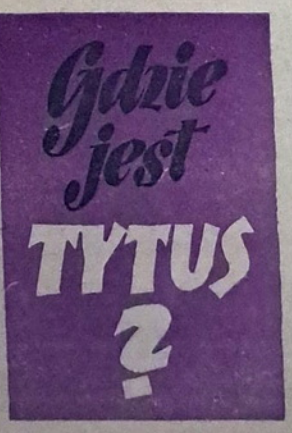

Kochana Redakcjo!

ODNALAZŁEM Tytusa! Na zaproszenie Baby Jagi z Łysej Góry przyjechał Tytus na sabat czarownic. Korzystając z uprzejmości Jędzy przeleciał na jej miotle nad skocznią narciarską w Kielcach. Lądując włączył się do szeregu zawodników. Stał tuż obok mnie w sekcji młodzików — biegaczy na trasie 3 km. Szkoda, że nie było od Was przedstawiciela. A może stał gdzieś na uboczu ojciec Tytusa i kreślił na kartce rysunki przedstawiające jego nowe przygody jako narciarza Klubu Budowlanych. Tytus nie zamierza prędko opuścić Gór Świętokrzyskich. Klub zyskał dobrego zawodnika, a my miłego kolegę.

Serdeczne pozdrowienia

MAREK GREWER
z Kielc

W sprawie zaginionego Tytusa

PO PEWNYM czasie doszliśmy do wniosku (chyba słusznego), że nasz przyjaciel Tytus nie zmieniając napisu na koszulce (jak

C. d. str. 4 — 5

Druh Andrzej Krupa — komendant leśnego obozu, a drużynowy na co dzień, ogląda z „Wagabundami" stare książki i zdobyte unikalne egzemplarze pisma „Na Tropie" i „Gospodarz".

C. d. ze str. 1

Odchodząc, pokazali nam idącego szybko ulicą niskiego, starszego pana. Miał chyba ponad 50 lat. Pomknęliśmy za nim, tak jak radzili nam chłopcy, ale po kilkudziesięciu metrach starszy pan znikł. Kilka sekund potem byliśmy już przy drzwiach niewielkiego sklepiku, wychodzącego na ulicę. Zajrzeliśmy przez szybę. Wewnątrz nie było nikogo, zaś w oknie wisiał niewielki napis „Apteka".

— Ładuj się i powiedz, że cię ząb boli — wepchnęliśmy w drzwi apteki Mariana i przylgnęliśmy do ściany.

ŁODZIĄ NA DRUGI BRZEG

RELACJA MARIANA

— **Dzień dobry** — powtórzyłem głośniej, ale ciągle nikt się nie odzywał. Na półkach stały lekarstwa w wielkich i małych buteleczkach, na ladzie kwiat. Obejrzałem się. Chłopcy ukryli się za murem, w aptece nie było nikogo. Zbliżyłem się do drzwi. Przez wąską szczelinę zobaczyłem starszego pana siedzącego na krześle i trzymającego na kolanach niewielki drewniany przyrząd, którego przeznaczenia nie znałem. Wyciągał go delikatnie szmatką. Skrzypnęły drzwi, które staralem się delikatnie pchnąć do przodu.

— A co to, kawaler umiera, że nie może poczekać?

Pan był siwy. Na stole niewielkiego pokoiku leżały jeszcze jakieś przedmioty — stare żelazko, ogromny przyrząd podobny do grzebienia, z gwoździami zamiast zębów.

— Chciałem coś na... niestety zapomniałem, co mi miało dolegać... skąd pan ma te wszystkie rzeczy, które stoją tam, w kącie i na stole? — wykrztusiłem wreszcie.

— O, to są skarby, kawalerze...

— Wiem, bo my też właśnie wybraliśmy się na poszukiwania.

— Wy, to znaczy kto?

— No, cały nasz zastęp. Nazywamy się „Wagabundy".

— O, to bardzo dobrze, bardzo dobrze — pan zaczął nerwowo spacerować po aptece.

— Musicie mi pomóc, ilu was jest?

— Ośmiu.

— Znakomicie. Patrz, to przywiozłem wczoraj z wyprawy na drugi brzeg jeziora. Ale jeszcze cenniejsze rzeczy można tam znaleźć. Szkoda, że do łodzi nie wejdzie dziewięć osób. A gdzie są koledzy?

— Tutaj — odrzekłem otwierając nagle drzwi apteki, za których wsunęli się do wnętrza chłopcy.

Pan zamknął aptekę na klucz, zaprowadził nas do skarbów, pokazał wszystko i opowiedział dokładnie, jak je zdobył. Opowiedział o muzeum, które zorganizował, o tym, co już w nim jest, a co należałoby jeszcze zdobyć.

— Trzeba mieć wyczulone oko i słuch. Jak gdzieś coś usłyszycie, to działajcie na własną rękę. Słyszałem, że leśniczy coś wie. Do mnie możecie przychodzić, kiedy chcecie. A teraz oprowadzę was po miasteczku — idziemy!

MOSTEK NIEDALEKO LEŚNICZÓWKI

DO OBOZU wróciliśmy jak na skrzydłach. Wprawdzie z pierwszej wyprawy żadnych łupów nie przynieśliśmy, ale znajomość z pasjonatem aptekarzem wydawała nam się rzeczą o wiele cenniejszą. Nazajutrz od rana rozpoczęliśmy atakowanie leśniczego. Rozmawiał z nami chętnie, ale żadnych wiadomości nie udało nam się z niego wydusić. Zwątpiliśmy w informacje aptekarza. Wysłany do niego łącznik powrócił z instrukcjami: „Leśniczy wie, tylko trzeba mu się wkupić".

— Od leśniczego dostaniemy żerdzie i trochę grubych sosnowych pni.

Robota paliła się chłopcom w rękach. Poinformowany specjalnym listem leśniczy zjawił się nagle przy bajorze.

— Jedziemy po drewno — zakomunikował.

Mieliśmy na sobie elegancko wyprasowane mundurki i chusty. W nagrodę za zdobycie kilku cennych informacji o historii okolicy, komendant zezwolił nam na całodniową wycieczkę. I oto odprasowani i wymyci zamiast zażywać rozkoszy wędrówki rozebraliśmy się przy bajorze i rozpoczęliśmy pracę. W południe gotowe były roboty ziemne — uregulowanie brzegów strumyka, przykrycie go darnią i gałęziami, pogłębienie. Na obiad nie poszliśmy. Koło czwartej grube bale leżały już na wkopanych w ziemię słupach. Pot oblewał nam z czoła. Pracowaliśmy szybko.

Przy mostku tymczasem sta-

SKARBY pana

Przez dwa następne dni w ogóle nie mogliśmy leśniczego spotkać. Zasłaniał się ogromem roboty i znikał w lesie. Nieoczekiwane rozwiązanie podsunął Mirek — zastępowy:

— Słuchajcie, to bagienko, które się tworzy za zakrętem, trzeba oczyścić i migiem zbudować mostek.

— A co to ma wspólnego z leśniczym?

nęły dwie furmanki i nasz samochód dowożący żywność. Chłopi pomogli nam trochę, a kierowca, który tydzień temu chciał zrezygnować z pracy ze względu na trudną drogę, teraz uśmiechnął się i kręcił głową. Leśniczy biegał i doradzał. Koło godziny szóstej mostek wraz z poręczami był gotów. Wzięliśmy na ramiona narzędzia i tupiąc głośno przeszliśmy na dru-

Gdzie jest TYTUS?

przypuszcza redakcja) został uwięziony w ołówku pana NN — etatowego rysownika historyjki obrazkowej, gdzie jest trzymany pod zamknięciem. Prosi się pana NN, by Tytus został zwolniony, bo bardzo nam jest smutno bez tego pełnego humoru i dowcipu malpiszona.

JUREK I ZBYSZEK NIEWCZAS
Starachowice

Droga Redakcjo!

CHCIAŁABYM Ci udzielić bardzo poufnej informacji. Dotyczy ona zaginionego Tytusa. Otóż odnalazłam go. Na matematyce nie wyjmowaliśmy nic z teczek, bo była klasówka. Ale po maimie była długa przerwa. Wsunęłam więc rękę do kieszeni teczki, w której zawsze mam śniadanie... Moja ręka trafiła na coś kosmatego. Pociągnęłam więc to coś do góry... I co się okazało? To był Tytus! Ale... straszliwie łysy. Zmartwiona byłam ta jego łysiną, więc zapytałam:

— Tytusku, czy ty aż tak jesteś stary, że wylysiałeś? — Na to on zrozpaczony: — Nie, tylko te zadania na klasówce były tak trudne, że ze strachu powypadały mi wszystkie włosy!

— Z jakiego strachu, przed czym? — zapytałam

— Przed dwójką — odparł.

Po przerwie była lekcja polskiego. Wszyscy byli bardzo zdziwieni, kiedy ujrzeli, że moja teczka wędruje samotnie do drzwi. Pani od polskiego dostała ataku serca ze strachu, a dziew-

gą stronę. Ani drgnął. Za nami wjechał samochód. Patrzyliśmy ze strachem w oczach, ale nie było się czego bać. Mostek był solidny. Zmęczeni zapomnieliśmy zapytać leśniczego o nasze skarby. W obozie czekano na nas. Nie wiadomo skąd wszyscy wiedzieli już o naszym czynie. Odśpiewano pochwalną pieśń, zjedliśmy obiad i zmęczeni pokładliśmy się w namiotach. Jeszcze tego samego wieczoru na ognisku zjawił się leśniczy:

— Trzy kilometry stąd, na drugim końcu wsi mieszka jeden człowiek. U niego znajdziecie stare książki... zdaje się, że wielkie żelazko na węgiel też tam widziałem.

— Powiedzieliśmy, że nas leśniczy przysłał. Książkę i żelazko dostaliśmy, a zawiasy odkręciliśmy od kredensu, który stał w stodole.

— Granda! Jutro pójdziecie to oddać...

...APTEKARZA

WSYPA „WIKINGÓW"

NAZAJUTRZ musieliśmy zostać w obozie. Za to inne zastępy wyruszyły na wyprawy. W południe wrócili do obozu „Wikingowie". Przyszli do nas i pokazali nam zdobycz — wspaniałe okucia, starą księgę, żelazko.

— Skąd to wzięliście.

— Z wyprawy.

— Podsłuchaliście, ponure typy!

Ubiegli nas. Pozazdrościli sukcesów. Tylko te zawiasy były coś podejrzane. Wieczorem zlapaliśmy jednego z „Wikingów" i przycisnęli do drzewa. Zaśpiewał jak z nut:

— Powiedzieliśmy, że nas leśniczy przysłał. Książkę i żelazko dostaliśmy, a zawiasy odkręciliśmy od kredensu, który stał w stodole.

— Granda! Jutro pójdziecie to oddać...

ZWIAD

NASTĘPNEGO DNIA całą ósemką poszliśmy do apteki. Pan Stopa poczekał, aż wyjdą klienci i zamknął drzwi. Dał nam kilka adresów. Wyruszyliśmy w okolicę na zwiad. Szło nam tego dnia jak po maśle. W samym Pasymiu zdobyliśmy kilka numerów ukazującego się niegdyś harcerskiego pisma „Na Tropie" z 1947 roku oraz „Gospodarza", czyli dodatek do pisma „Mazur", które potajemnie wychodziło na Warmii i Mazurach pod panowaniem Niemców.

Potem powędrowaliśmy na wieś. W jednej z chat rozmawialiśmy ze starą babcią, która opowiadała nam przysłowia ludowe i śpiewała piosenki. W innej chacie zdobyliśmy starą biblię drukowaną gotyckimi literami, ale w polskim języku.

Wróciliśmy z tymi wszystkimi skarbami do apteki. Pan Stopa ucieszył się i nie oczekiwaliśmy nawet, że tego dnia zdobędziemy jeszcze kilka wyjątkowo cennych eksponatów. Aptekarz wyciągnął z kąta stary, mający ponad 60 lat, kołowrotek i powiedział:

— Weźcie, to ode mnie. Tylko dbajcie, bo to cenna zdobycz. Przywiozłem go z drugiej strony jeziora.

Do obozu wróciliśmy wieczorem. Zabrała nas jakaś ciężarówka, potem trzy kilometry szliśmy pieszo, taszcząc nasze trofea. Ustawiliśmy wszystkie eksponaty przed namiotem. Kronikarz zabrał się natychmiast do opisywania wrażeń, a po kolacji przyszli „Wikingowie". Oczy stanęły im w słup, jak zobaczyli kołowrotek.

— No, jak tam — zagadnęliśmy — byliście oddać zawiasy?

— Byliśmy. Głupia historia. Szkoda, że nie poszliśmy tam wtedy z wami. Zabralibyście nas chyba, co?

— Zabralibyśmy, ale gadajcie, co z gospodarzem...

— Powiedzieliśmy wszystko. Zły był trochę, ale potem się uspokoił. Pracowaliśmy cały dzień razem z nim w polu. Odwiózł nas furą, aż do obozu. Jutro też idziemy. Trzeba to jakoś załagodzić, no nie?

— No, tak! — przedrzeźnił Mirek.

— Żelazko i książkę chcieliśmy oddać, ale gospodarz nie chciał o tym słyszeć. Zawiasy też chciał nam podarować, ale nie wzięliśmy. Wkręciliśmy z powrotem do kredensu.

Zadrościliśmy trochę „Wikingom" dużego żelazka i księgi, ale mieliśmy przecież swoje zdobycze. W dodatku znów przy ognisku zjawił się leśniczy i oficjalnie złożył nam podziękowanie za mostek, oddając do dyspozycji zastępu swoją łódź — na cztery dni. O rany!

◆

W niewielkiej izbie 86 Warszawskiej Drużyny Harcerzy przy Szkole nr 44 rozmawiam z uczestnikami letnich poszukiwań.

— Na obozie hufca Praga-Północ w Rudziskach Pasymskich było około 200 harcerzy — mówi drużynowy Andrzej Krupa. — Spośród nich tylko „Wagabundy" podjęły na wielką skalę akcję tropienia „białych kruków" i różnych eksponatów zasługujących na uratowanie od zniszczenia i zapomnienia.

— Przypadkowe spotkanie z p. Stopą — mówi Marian Siwek — było dla nas wielkim przeżyciem. Żeby częściej go widywać, chodziliśmy do apteki udając, że chcemy kupić aspirynę. Ale aptekarz zawsze wiedział, po co przychodzimy. Sam jest zapalonym zbieraczem zabytków i historykiem - entuzjastą. Jest jednym z założycieli Oddziału Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze" i organizatorem wielu pożytecznych akcji na tym terenie. Nie zrywamy kontaktu z panem magistrem Stopą, mimo że na obóz wybieramy się w inne miejsce. Właśnie piszemy do niego długi list o tym, co zamierzamy tropić w czasie tegorocznego obozu.

WIESŁAW HUDON
Zdjęcia autora
Rys. M. Kościelniak

No, zaczesać to się tym urządzeniem nie można, ale wszystkim harcerzom z warszawskiej Drużyny nr 86 wiadomo, że przyrząd służy do czesania lnu.

20 lat w niewoli u Indian

NIEWIARYGODNĄ przygodę przeżył w puszczy peruwiańskiej polski emigrant pan Alojzy Kiser. Został on w ubiegłym roku odnaleziony przez samoloty w dżungli, gdzie nie stanęła dotychczas stopa białego człowieka. Według informacji zamieszczonej w Expressie Wieczornym, a opartej na korespondencji, jaka ostatnio nadeszła z Peru od Alojzego Kisera do jego brata Bernarda Kisera, dziennikarza „Expressu", historia wygląda następująco:

Bohater sensacyjnej przygody pracował w latach trzydziestych w Polskich Liniach Lotniczych jako mechanik pokładowy. W 1936 r. podpisał kontrakt z południowoamerykańskim przedsiębiorstwem lotniczym w Rio de Janeiro. Tam już jako pilot pracował na szlakach powietrznych od Ziemi Ognistej do Zatoki Meksykańskiej, od Atlantyku po Ocean Spokojny. Wojna przerwała jego kontakty z rodziną w Polsce. Po wyzwoleniu nadeszły do kraju 3 listy z Peru. Potem korespondencja się urwała. Listy wysyłane do A. Kisera wracały z dopiskiem — „Adresat nieznany".

Mijały lata i nic dziwnego, że uznano go za zaginionego. Aż wreszcie nadszedł do Polski list, w który początkowo nie chciano wierzyć:

„Kochani rodzice! Żyję... Zaginąłem w puszczy... Przeżyłem 20 lat wśród dzikich szczepów Indian. Przypadkowa odnalazły mnie i mojego przyjaciela — Amerykanina Willy'ego Pesny, samoloty poszukujące jakiejś zaginionej ekspedycji. Powróciłem do cywilizacji. Wasz Lolek".

Okazuje się, że w czasie wędrówki po nieznanej puszczy peruwiańskiej A. Kiser wraz ze swoim przyjacielem zostali wzięci do niewoli przez prymitywny szczep Indian. Próbował kilkakrotnie uciekać, ale za każdym razem chwytano go jednak. W końcu stał się członkiem wspólnoty indiańskiej — jak oni chodził nago, jak oni polował, przyjął ich zwyczaje. W plemieniu tym pojął za żonę Indiankę, z którą ma dwoje dzieci.

Kiedy obu białym udało się porozumieć za pomocą układanych na ziemi znaków z patrolującymi dżungle pilotami samolotów, zaświtała nowa nadzieja ucieczki. Pan Alojzy Kiser podjął ją wraz z żoną, dziećmi i swym amerykańskim przyjacielem. Po wielu tygodniach kluczenia po dżungli, prowadzeni po znakach zrzucanych z samolotu, dotarli wreszcie do cywilizowanego świata.

Obecnie pan Alojzy Kiser mieszka w stolicy Peru, Limie. 6-letnia córka Erunia i 3-letni synek Lucho uczą się mówić po hiszpańsku i poznają niezwykłe dla nich urządzenia cywilizacyjne — telewizor, kuchenkę gazową, domowe urządzenia sanitarne itd. Znalazły się przecież w jakżę odmiennym świecie. W nauce robią szybkie postępy, ale — jak pisze pan Alojzy Kiser — dialekt szczepu Yaminaquasów niepredko zniknie z jego domu. (J. k.)

częta powskakiwały na pulpity ławek. Tę pełną napięcia atmosferę zakończył głos dzwonka... Ale i on nie podziałał na moich kolegów. Dziewczęta patrzyły, a teczka stała pod drzwiami. Podeszłam więc do drzwi, podniosłam teczkę, powiedziałam: „Do widzenia" i... wyszłam z klasy, zostawiając wszystkich w osłupieniu.

Do domu spieszyłam się jak nigdy i kiedy wreszcie rozebrałam się i poszłam do pokoju, mogłam wyjąć z teczki niecodzienny ładunek.

Moja wiadomość była poufna, ale proszę uspokoić Czytelników, że Tytusowi odrastają włosy, grubieje, bo karmię go kaszką i w ogóle jego stan umysłowy jest normalny (rozwiązuje zadania algebraiczne z VIII klasy).

Na tym kończę, pozdrawiam w swoim i Tytusa imieniu całą Redakcję i Czytelników.

ELŻBIETA BĘDKOWSKA
z Sosnowca

Z OSTATNIEJ CHWILI

Tytus się znalazł. Jak się okazało, przez cały czas nieobecności był zamknięty w pracowni plastycznej u papcia Chmielewskiego, gdzie pozował do III księgi przygód „Tytusa, Romka i A'Tomka." Księga jest już narysowana i została przekazana do drukarni. Tematem jej są kosmiczne przygody Tytusa. W sprzedaży ukaże się w maju br. Tytus wróci wkrótce na łamy „Świata Młodych". Chyba że znowu gdzieś się zawieruszy.

Andrzej Wajda ze Świdnicy, ul. Świerczewskiego 16 przychodzi redakcji z pomocą i przysyła zaszyfrowane przygody Tytusa, Romka i A'Tomka.
Dziękujemy. Przygoda bardzo fajna. Andrzej pragnie korespondować z kolegami z innych miast. Kto do niego napisze?

Rys. M. Kościelniak

Spektakl gładki

Napisali: WANDA CHOTOMSKA i WACŁAW BISKO

Trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku — w Sylwestrowy Wieczór — witaliśmy hucznie Karnawał, a 25, 26 i 27 lutego bieżącego roku wypada go niemniej hucznie żegnać.

Zanim zaproponujemy Wam zabawę na ten dzień, pozwólcie, że sięgniemy do „Encyklopedii staropolskiej", której autor — Zygmunt Gloger, jeden z najwybitniejszych kronikarzy polskich tradycji — pisze na temat „ostatków" tak:

„Mięsopust... tak nazywano dawniej „ostatki", czyli trzy ostatnie dni zapustne przed Wielkim Postem, poświęcone biesiadom, tańcom, wesołości..."

Na stołach biesiadnych pojawiały się tego dnia resztki mięsnych potraw, biesiadnicy przebierali się w szczątki karnawałowych strojów i wszyscy bawili się, jak umieli i jak chcieli.

Na temat „ostatków" i „przebierańców zapustnych" pisali smacznie i ciekawie: Jan Długosz (1415–1480), Marcin Bielski (1495–1575), Mikołaj Rej (1505–1569), Jakub Wujek (1540–1597), Jędrzej Kitowicz (1727–1804), Aleksander Fredro (1793–1876), Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887), Zygmunt Gloger (1845–1910) i wielu innych. Tylko my jeszcze nie pisaliśmy.

Sięgnęliśmy zatem po ostatki naszych rymów, resztki dowcipu oraz szczątki długoletnich i oto prezentujemy Wam repertuar na ostatnią karnawałową zabawę. Można go wystawić w całości w środku zabawy albo wykorzystać poszczególne sceny jako przerywniki w pauzach między tańcami.

Zabawę prowadzą dwie osoby:

1. KARNAWAŁEK, czyli król karnawału — chłopiec umiejący śpiewać, w papierowej koronie i królewskim płaszczu. Zamiast berła trzyma w ręku wałek (tłuczek od kartofli).

2. KARNAWAŁNICA, czyli królowa karnawałowa — dziewczynka śpiewająca, również w koronie i królewskim płaszczu, z patelnią w ręku.

Poza tym, jako karnawałowi przebierańcy występują: OSTATNI MOHIKANIN, OSTATNI, CO TAK POLONEZA WODZI, TA OSTATNIA NIEDZIELA, WYGLUP TO OSTATNI, OSTATNIA DESKA RATUNKU.

Ostatni Mohikanin

(Na estradkę wychodzą wszyscy aktorzy i stoją plecami do widowni. KARNAWAŁEK i KARNAWAŁNICA stoją przed nimi twarzą do widowni. Wszyscy kłaniają się).

KARNAWAŁEK *(śpiewa na melodię canta ludowej kolędy zaczynającej się od słów „Hej w dzień narodzenia..." do taktu uderza tłuczkiem w patelnię KARNAWAŁNICY):*

Z wesołą muzyką,
z piosenką i tańcem,
z królową i z królem
idą przebierańce!

CHÓR AKTORÓW *(śpiewa na mel. refrenu kolędy):*

Wpuśćcie nas do chatki,
bo dziś są ostatki!
Hej, ostatki, ostatki!

KARNAWAŁNICA *(śpiewa canto):*

W Dęblinie, w Rypinie,
w Kocku i Serocku
odbywa się ninie
przypinanie klocków...

CHÓR *(śpiewa refren):*

Więc my też z klockami
stajemy przed wami,
Hej, dorośli i dziatki!

KARNAWAŁNICA przypina do pleców OSTATNIEMU MOHIKANINOWI „klocek", czyli karton z napisem „Ostatni Mohikanin". Ten odwraca się twarzą do widowni i mówi albo śpiewa na mel. ballady „Panna Franciszka").

OSTATNI MOHIKANIN *(chłopiec w stroju Indianina, z papierosem w ustach):*

Staję przed wami
w indiańskim stroju
i mam przy sobie
fajkę pokoju,
bo — zgodnie z panem
Karolem Mayem —
Indianin z fajką się nie
rozstaje.
Z fajką na prerii Indianin
kucał
i nikotyną truł sobie płuca...
Dymem się wytruł
szczep Indian bratni
w związku z powyższym
— jestem ostatni!
Oto ostatnia moja minuta,
Ostatni dymek i...
(pada na ziemię)

KARNAWAŁNICA:

uumarł w butach!

CHÓR:

Umarł nie w butach,
lecz w mokasynach,
bowiem zgubiła go nikotyna!

(Oboje państwo „K" podnoszą „sztywnego" Indianina i, ustawiwszy go w szeregu twarzą do widowni, podpierają go kijami. Wszyscy kłaniają się)

Ostatni, co tak poloneza wodzi

(KARNAWAŁNICA przypina SZLACHCICOWI „klocek" z napisem „Ostatni, co tak poloneza wodzi". SZLACHCIC — chłopiec w stroju szlachcica z XVIII w., przepasany pasem słuckim, z karabelą u boku — odwraca się twarzą do publiczności i mówi z patosem):

SZLACHCIC:

Poloneza czas zacząć
— tradycja nas zmusza
oraz przepiękny opis z
„Pana Tadeusza",
więc podkręcając wąsa
ruszam posuwiście
ku partnerce...

(rusza tanecznie w stronę KARNAWAŁNICY, która tańczy twista)

... a ona pogrążona w twiście!
O, moja karabelo!
O, mój pasie słucki!
Jak żyję, nie widziałem,
żeby tańczyć w kucki!

(wskazuje na KARNAWAŁNICĘ)

Zezuje na publiczność
i w nogach ma zeza...
Dzieweczko, czyż nie lepiej
tańczyć poloneza?

(KARNAWAŁNICA „twistuje" wokół SZLACHCICA, który po chwili zaczyna ją naśladować. W tym czasie CHÓR śpiewa na melodię piosenki „Zgaduj-zgadula")

CHÓR:

Słuchaj, dzieweczko —
ona nie słucha!
Na poloneza,
ona jest głucha,
bowiem Rozgłośni
Harcerskiej słucha —
jak to dziewucha,
jak to dziewucha!

SZLACHCIC *(śpiewa dalej tańcząc):*

Słuchaj, dzieweczko,
to nie wypada!
Co by powiedział
Mickiewicz Adam!
To nie jest taniec
— to maskarada!
Tańcz sobie sama,
bo ja wysiadam.

(SZLACHCIC słaniając się i podpierając karabelą staje w rogu twarzą do publiczności)

KARNAWAŁEK *(mówi):*

Ustąpują mu z drogi
i zmieniwszy szyki
spozierają po sobie
wydając okrzyki:

CHÓR *(woła):*

Ach to był już ostatni,
poloneza wodził...
Dał się nabrać na twista
i twist mu zaszkodził!

Ta ostatnia niedziela

(Na estradzie KARNAWAŁEK przyczepia do pleców ODKOCHANEJ „klocek", czyli karton z napisem „Ta ostatnia... niedziela". ODKOCHANA — modnie ubrana

na ostatki

dziewczynka w mini-spódniczce, uszminkowana, odwraca się twarzą do publiczności. KARNAWAŁEK ma w ręku pęk 22 rzodkiewek wymodelowanych z plasteliny albo z papieru).

CHÓR *(śpiewa na melodię canta tanga „Ta ostatnia niedziela", zaczynającego się od słów „Jedną mam prośbę, jedną ostatnią..."):*

Była prywatka karnawałowa,
a na prywatce on...

(ODKOCHANA wskazuje palcem na KARNAWAŁKA)

Olśniewał uśmiechem,
słowami czarował,
więc serce jej biło jak dzwon.

(CHÓR wskazuje na ODKOCHANĄ)

Powtarzał...

KARNAWAŁEK:

...je-jedyna na świecie!
Twe oczy — gwiazdki dwie!

CHÓR:

Tańczyła, o szczęściu sen śniła,
a przecież
tak szybko ten sen skończył
się...

ODKOCHANA *(śpiewa solo refren na tle murmuranda CHÓRU):*

Ta ostatnia niedziela
była dla mnie koszmarem,
wszystko stało się szare
u szczęścia bram.
W tę ostatnią niedzielę
w gruzach legła ma miłość,
a dlaczego tak było —
wyjaśnię wam:

(śpiewa na melodię canta — CHÓR milknie)

Rwał jak rzodkiewki
inne dziewczęta —

(KARNAWAŁEK rwie rzodkiewki i rzuca na widownię, a ODKOCHANA śpiewa dalej):

W sumie dwadzieścia dwie...
Gdy z inną zatańczył,
to już nie pamiętał,
że przecież on kochać miał
mnie.

CHÓR:

Te same słowa wszystkim
powtarzał,
w ten sam uderzał ton
i nie czuł ni trochę,
jak ją to przeraża,
że serca im biją jak dzwon.

ODKOCHANA *(śpiewa refren na tle murmuranda CHÓRU):*

Ta ostatnia niedziela
do dziś gra mi na nerwach,
tyyyle dziewcząt poderwał,
a rzucił mnie!
Po ostatniej niedzieli
człowiek nie jest dziecinny —
zrobię na złość i... w innym
zakocham się!

CHÓR:

Na śmierć!

(ODKOCHANA rzuca się w ramiona INDIANINA, wszyscy kłaniają się)

Wygłup to ostatni

(Na estradce KARNAWAŁNICA przyczepia do pleców HIPISA „klocek", czyli karton z napisem „Wygłup to ostatni". HIPIS — chłopiec w rozpiętej na gołych piersiach krótkiej kurtce lub kamizelce, we wzorzystych spodniach od piżamy, w trampkach na nogach, wymalowany w różne kwiatki na brzuchu, ramionach i twarzy, na głowie ma długą perukę a w ręku gitarę — odwraca się twarzą do widowni i śpiewa na melodię pieśni zaczynającej się od słów „Jeszcze jeden mazur dzisiaj...")

HIPIS:

Jeszcze jeden wygłup dzisiaj —
moda to niełysa.

(Zwraca się do KARNAWAŁNICY)

Może zechce panna Krysia
śladem pójść Hipisa...

KARNAWAŁEK *(śpiewa dalej wskazując na HIPISA)*

Hipis to jest nastolatek
nowoczesny zgoła:
tu ma kwiatek, tam ma
kwiatek

CHÓR

a w głowie fijoła! (bis od „tu"...)

HIPIS:

Hipis marzy o miłości...

CHÓR:

Leni się zawzięcie

HIPIS:

Hipis szuka przyjemności...

CHÓR:

Cały świat ma w pięcie.

(KARNAWAŁEK popycha HIPISA palcem, HIPIS pada, KARNAWAŁEK wyciąga go i ustawia w rzędzie twarzą do widowni pod stojącym wieszakiem, który przynosi szybko KARNAWAŁNICA. W tym czasie CHÓR śpiewa końcową zwrotkę)

CHÓR:

Już dyżurny go wynosi
— wygłup to ostatni!
Chociaż modne hasła głosi,
niech poczeka w szatni. (bis)

KARNAWAŁEK *(mówi):*

Nie rozumiejcie nas opacznie,
nie opuszczajcie jeszcze
chatki...

KARNAWAŁNICA:

Niebawem dalszy ciąg się
zacznie,
bo nie skończone są „ostatki".

(wszyscy kłaniają się)

Ostatnia deska ratunku

(Na estradce KARNAWAŁNICA przypina do pleców ZANIEDBANEJ „klocek", czyli karton z napisem: „Ostatnia deska ratunku". ZANIEDBANA — dziewczynka z potarganymi włosami, ale umalowana, w brudnej, pogniecionej bluzce, ale wydekoltowana, w pomiętej spódnicy, ale „mini", w opadających pończochach, ale na wysokich obcasach — odwraca się twarzą do publiczności i mówi ospale, wyginając się kokieteryjnie)

ZANIEDBANA:

Zbyszek nie poszedł ze mną
do kina,
Franek zapytał:
„To jest dziewczyna"?
Staś na zabawę nie przyszedł
dzisiaj,
Feluś, gdy wsiadłam —
z tramwaju wysiadł,
Tomek ucieka, gdy mnie
zobaczy,
Janek ukłonić mi się nie
raczy...
Co to ma znaczyć?!
Czemuż, ach czemu
jak w „Dziadach" słyszę
ciągle „a kysz!"
Dziwię się temu, dziwię się
temu, dziwię się temu...

CHÓR:

I my tyż! —

INDIANIN:

No bo dlaczego włosów nie
myjesz?

ODKOCHANA:

Albo dlaczego masz brudną
szyję?

SZLACHCIC:

Czemu w pończochach nie
łapiesz oczek?

WYGŁUP:

Nie czyścisz butów przez cały
roczek?

KARNAWAŁNICA:

Ostatnia chwila, więc nie trać
czasu...

KARNAWAŁEK:

Uczesz się, dopierz oraz
odprasuj.

CHÓR:

Tonący nawet brzytwy się
chwyta —
ty nie dostaniesz jej w
podarunku...

(KARNAWAŁEK wręcza ZANIEDBANEJ deskę do prasowania)

CHÓR:

Bierz, póki dają — o nic nie
pytaj —
to jest ostatnia deska ratunku!

(ZANIEDBANA dziękuje i wraca na swoje miejsce, wszyscy kłaniają się).

Ostatni dzwonek

(Na estradkę wchodzą wszyscy aktorzy. KARNAWAŁEK ma w ręku dzwonek — może być od roweru — a KARNAWAŁNICA tacę z dzwonkami śledzi nadzianymi na wykałaczki albo zapałki).

WSZYSCY: *śpiewają na melodię refrenu „Hiszpańskiego walczyka", zaczynającego się od słów: „Cała sala śpiewa z nami"):*

W karnawale, w karnawale
miło było potańczyć, poszaleć,
w karnawale były bale,
a to jest już ostatni nasz bal...
Nim ostatni zabrzmi dzwonek,
dzwonko śledzia przekąśmy
z fasonem,
bo karnawał odchodzi sobie już
w siną dal —
Trochę żal, trochę żal, trochę
żal...

(KARNAWAŁEK uczy widownię piosenki i kiedy cała sala śpiewa, KARNAWAŁNICA częstuje widzów śledziami. Przy każdym skonsumowanym „dzwonku" KARNAWAŁEK dzwoni. Po poczęstunku CHÓR śpiewa na tę samą melodię)

CHÓR:

W karnawale, w karnawale
miło było potańczyć, poszaleć,
w karnawale były bale,
ten ostatni jest, jak niesie
wieść...
Już ostatni zabrzmiał dzwonek,
dzwonko śledzia zostało zjedzone,
kto go nie zjadł, ten ucho od
śledzia ma jeść,
no i cześć, no i cześć, no i cześć!

(Cała sala powtarza tę zwrotkę tańcząc walca).

Ostatnie słowo

Do nas należy słowo ostatnie,
przeto łamiemy dwie głowy bratnie
i wyciągamy z mózgów szufladki,
a z tych szufladek rymów ostatki.
Rym nam ucieka, jakby coś poczuł
i niby herold woła co siły:
„Po karnawale i po... półroczu
książki się trochę do Was
stęskniły!"
Kiepski to widok — zmarszczone
czoło,
zadbajcie zatem, głowy uczone,
by jak w „ostatki" brzmiał Wam
wesoło
na koniec roku ostatni dzwonek.
Koniec zabawy i rymów tłustych.
Czas na sprint mózgów, bo meta
blisko.
Tak oto „z głowy" mają zapusty

WANDA CHOTOMSKA
i
WACŁAW BISKO

Rysunki wykonał M. Teodorczyk

ROBERT BLOK

Pączki

BYŁA PÓŹNA JESIEŃ. Marek przepadał za tymi godzinami popołudnia, kiedy to kończą się lekcje i staje otworem wspaniała, parugodzinna przestrzeń tak zwanego wolnego czasu.

Ponieważ mieszkał blisko szkoły, wracał zawsze okrężnymi drogami, włócząc się po małych, niezbyt ludnych uliczkach swego wielkiego miasta.

Zaglądał na podwórza, gapił się w okna płonące o tej porze lampami, kopał śnieg pod nogami, stawał przed witrynami małych, prywatnych sklepików, oglądał dziwne zegary i obrazy, drobne przedmioty z brązu i srebra. Misternie rzeźbione broszki i spinki przykuwały czasami na długo jego uwagę. Pewnego dnia trafił w swych wędrówkach na uliczkę wąską i szczególnie ciemną, której mroki bezskutecznie starała się złagodzić mała, ostatnia już chyba w mieście, gazowa latarnia. Mniej więcej w połowie uliczki, niby ręka drogowskazu błyszczał żółty szyld: „Cukiernia". Jak wędrowiec zagubiony w lesie tak i on pospieszył w stronę światła. Przylegała do niego maleńka norka raczej niż lokal czy sklep. Wąziutkie drzwi, małe okno wystawowe z poukładanymi na blasze pączkami.

W środku było ciepło i przytulnie. Na wprost wejścia lada z zielonego szkła, na niej znów półmiski z pączkami (innych ciast w ogóle nie było). Zjadł dwa ciepłe jeszcze, o chrupiącej, spieczonej skórce. I od tej pory był tutaj stałym, codziennym gościem.

Na ten moment, gdy przyjdzie i stanie przy wąskim stoliczku, ciasno przylegającym do maleńkiej i krótkiej ścianki, z dwoma ciastkami w ręce (będzie je zjadał wolno, a czasami, gdy spojrzy trochę w bok, zobaczy w tylnej lustrzanej ścianie ciemne dziewczęce oczy, wpatrzone w niego z uwagą) — na ten moment, tak przecież prosty i zdawałoby się niewiele znaczący, cieszył się cały dzień.

Była to jego tajemnica. O istnieniu sklepu nie wiedział oczywiście nikt, dlatego też, gdy zaczynały się wakacje, tęsknił za godzinami późnego popołudnia, które były już dla niego jednoznaczne z wizytą w maleńkiej cukierni.

Mama Marka, gdy zauważyła, że syn przepada za pączkami, piekła je często i tak w domu trwały nieustanne zapusty.

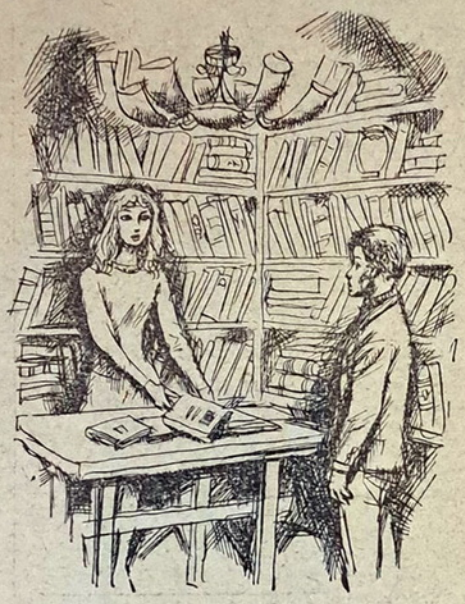

Rys. M. Kościelniak

Czarne kule polane lukrem, udekorowane skórką pomarańczową, zajmowały honorowe miejsce na stole. Wprawdzie takie domowe wypieki nie mogły w żadnej mierze zastąpić tamtych przysmaków, ale przecież, choć w małym stopniu, wypełniały ich brak. Nie wiadomo było i Marek absolutnie nie mógł sobie z tym poradzić, co jest ważniejsze. Czy ta ciemna uliczka, jasny szyld i ciepły sklepik, czy też same ciastka, podawane z uśmiechem przez wesołą dziewczynę o jasnych włosach.

Tak minęły dwa lata, dwa lata, w których nic się nie działo. Chłopiec chodził do szkoły, odwiedzał małą cukiernię, jeździł na wakacje, które teraz nawet już nie bardzo lubił.

Pewnej zimy Marek zachorował. Leżał w gorączce, potem jeszcze długie dni musiał pozostać w domu. Przebywał wiele sam. Rodzice wracali późno z pracy, czasami odwiedzali go koledzy. Opowiadali o szkole, przynosili drobne upominki, pytali, kiedy wróci. Może po raz pierwszy w życiu Marek cieszył się z tej samotności. Dużo czytał i nikt nie przeszkadzał mu w marzeniach.

Przede wszystkim wyobrażał sobie pierwszą po tak długiej nieobecności wizytę w sklepie i czuł się szczęśliwy.

Któregoś dnia, gdy pochłonięty był jak zawsze tymi stałymi już myślami, zatrzymał się dłużej niż to zawsze robił w rzeczywistości, przed zieloną ladą i nagle wydało mu się, jakby po raz pierwszy zobaczył drobną małą rękę, biały mankiet koszuli, wąskie ramię i dziewczęcą twarz o dużych wesołych oczach. Patrzał na nią długo, uważnie. I dopiero teraz Marek uświadomił sobie, że w sklepie tym nigdy nie było ludzi, ulica też zawsze świeciła pustkami, nie pamiętał nawet psa biegnącego tamtędy.

Wydało mu się, że nareszcie wie, dlaczego było mu tak dobrze w tej jasnej cukierni, dlaczego tęsknił, gdy nie mógł tam pójść. Pojął, że to dziewczyna a nie sklep, czy — co mu się wydało teraz śmieszne — ciastka, była powodem jego codziennych wizyt na małej uliczce. Niedostrzegana, przesłonięta przedmiotami postać była mu coraz bliższa droższa, tym bardziej, że tak niespodziewanie, prawie nagle odnaleziona. Marek był pewien, że ona czeka tam teraz na niego, przez te wszystkie dni, które spędził w gorączce i chorobie.

Ubrał się prędko i pobiegł do sklepu. Chciał się wytłumaczyć, dlaczego ani razu nie powiedział dziękuję, dlaczego nie patrzył na nią, dlaczego milczał, chciał jak najszybciej odebrać ciastka z tej wyciągniętej od tygodni dłoni.

Szedł coraz szybciej, wreszcie zaczął biec. Skręcił z jasno oświetlonych alei w ciasne kamienne podwórze, skąd prowadziło przejście na ulicę. Ale dziś nie mógł trafić. Szukał i błądził bezskutecznie. Nie potrafił znaleźć ani sklepu, ani uliczki.

Gdy już bardzo wyczerpany parugodzinnymi poszukiwaniami zatrzymał się na chwilę, zobaczył że stoi przed oświetloną witryną antykwariatu.

Leżało tam mnóstwo starych i nowych, wspaniałych książek. Pochłaniał oczami tytuły na barwnych obwolutach, zachłannie spoglądał na atlasy i kolorowe mapy. I gdy tak tkwił przed tą jasną wystawą, ogarniał go spokój. Przemijało podniecenie gorączkowych, popołudniowych godzin. Ze sklepu biło ciepłe, znajome światło. Marek pomyślał, że nie ma już dziś sensu szukać i błądzić dalej. Było późno, a nowo napotkany sklep wydał mu się równie znajomy jak tamten sprzed miesiąca. Może to i dziwne, ale było tak, jakby nigdzie nie zbłądził i właśnie to miejsce było celem jego codziennych odwiedzin. Ogarnęło go znużenie, któremu teraz towarzyszyło poczucie bezpieczeństwa i zadowolenie. Starszy pan stojący za szybą obserwował jego zamyślenie. Gdy Marek spojrzał — uśmiechnął się. Chłopiec przyjął ten uśmiech jako zaproszenie. Pchnął drzwi. Dzwonek zaśpiewał melodyjnie. Znalazł się w pięknym, pełnym cudownych książek świecie. Wielka lampa zwisająca z sufitu rzucała cień na półki, szczelnie załadowane różnej wielkości tomami. Ten pokój stał mu się od razu drogim, zanim jeszcze dostrzegł drobną dziewczęcą postać, jakby bliźniaczej siostry tamtej dziewczyny. Zajęty przeglądaniem książek, Marek nawet nie bardzo zwrócił uwagę na nią. I dopiero gdy pakowała wybrane przez niego powieści, przyjrzał się jej wielkim czarnym oczom i miękim, jasnym włosom, spadającym na ramiona.

Marek zupełnie zapomniał o cukierni. Czasami wydawało mu się, że tamte zdarzenia były częścią choroby albo snem. Teraz przeżywał swoją wielką i, jak mu się zdawało, pierwszą prawdziwą przygodę. Wraz z bohaterami coraz to nowych książek był świadkiem spraw niezwykłych, tajemniczych i wspaniałych.

Gdy wyzdrowiał i wrócił do szkoły, starał się jak najszybciej znaleźć w domu, by prędko skończyć czytaną książkę i jak najszybciej odwiedzić mały antykwariat. Witała go tam niezmiennie uśmiechnięta młoda dziewczyna.

Jej postać i wzrok były mu już stałymi towarzyszami. Jej oczy nadawały barwę i życie wszystkim książkowym bohaterom. Ciemne i niepokojące, patrzyły z każdej nowo czytanej strony, stały się już właściwie jego własnymi oczami.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-68. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł. 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Adres redakcji: Warszawa, ul. Mokotowska 24.
Zam. 201. N-55